

V-0100/3

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 85

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 29 kwietnia 1861.
11 maja

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

August Cieszkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Zamek orawski (z dwoma drzeworytami). — Ubiory, niewiast tegoczesne (z drzeworytem). — Elegia Zwierzyniecka, poezya. — Na placówce, wspomnienie żołnierskie przez T. T. Jeża (ciąg dalszy). — Radeznica (z drzeworytem). — Szachy Rebus.

August Cieszkowski.

Cieszkowski, urodzony w królestwie polskim, na Podlasiu, syn obywatela ziemskiego, liczy obecnie lat 46. Troskliwie wychowany, obdarzony wysokimi zdolnościami, rozwijał się szybko, pojmował łatwo, a rozmiłowywał się w naukach, szczególnie w historycznych, zapragnął kształcić się dalej. Młodego, skłonnego do badań, opanowała chętka pójścia na uniwersytet, i chęć tę zamienił w czyn, udawszy się do Berlina. Wybór tej wszechnicy pokazuje w jakim kierunku zamierzał się kształcić Cieszkowski. Uniwersytet berliński odznaczał się wśród innych doбором mężów przewodniczących młodzieży akademickiej. Filozofią i estetyką wykładali: Schelling, Michelet, Vatke, Hotho; historią porywający i ognisty Gans; filologią niezrównany Boeck; prawo jeden z najznakomitszych jurystów niemieckich, Savigny. Pod mistrzami takimi kształcił się Cieszkowski. I były to świetne czasy. Mnóstwo młodzieży polskiej bawiło w Berlinie, zdania ścierały się, zwłaszcza na uczonych wieczorach u Micheleta, wielce cenionego Polaków, a szczególnie Cieszkowskiego, i na zebraniach w bibliotece polskiej.

Pod wpływem filozofii niemieckiej, napisał Cieszkowski: *Prolegomena zur Historiosophie* (Berlin 1838), a w rok potem wydał w Paryżu dzieło obszerniejszych rozmiarów: *Du crédit et de la circulation* (Paryż 1839 i 1847). Traktuje w niem najprzód teorią o naturze i stopniowym rozwijaniu się kredytu, i powiada: kredyt jest metaforą kapitałów stałych i zaciągniętych na kapitały krążące lub wolne, to jest sposobem uczynienia rozporządzeniami i krążącymi kapitałami niebędącymi takimi, a tęp samym środkiem wprowadzania ich w użytek tam, gdzie tego wymaga potrzeba. Dalej uczy Cieszkowski, że są trzy rodzaje cyrkulacji: 1) cyrkulacja produkcyjna; 2) cyrkulacja spożywająca lub bierna i nakoniec 3) nieplodna czyli nijaka. Jako konieczny warunek dobrogo

bytu, stawia autor powiększenie ile możności masy kapitałów w stanie obiegającym, lecz przytęp wskazuje, iż ważną jest rzeczą, aby kapitały cyrkulacyjne były prawdziwymi kapitałami, a nie fikcyjnymi znakami, lub wartościami nominalnymi tylko. Określiwszy na czém się zasadza organizacja kredytu i cyrkulacji kapitałów, oraz przeszedłszy nader ważny przedmiot w finansach, to jest puszczanie w obieg biletów bankowych, zastanawia się nad ogólnym rozkładem kredytu i tak jego jak i cyrkulacji kapitału rzeczywistą pewnością. Ostatnie rozdziały poświęca autor zbadaniu sposobów roz-

cie środków prowadzących naród do zubożenia się, nie na drodze niemoralnej spekulacji, ale rozumnego rozwoju sił jakie spoczywają w kapitałach i w umiejętnym użyciu i zastosowaniu kredytu.

Po dwóch latach przerwy, pojawiła się w Bibliotece warszawskiej (r. 1844) Cieszkowskiego: *Rzecz o filozofii jonskiej, jako wstęp do historii filozofii*, rozprawa dobra i sumiennie opracowana, zawsze jednak oparta na filozofii niemieckiej. Znac w niej wielką dojrzałość, lecz, jako zarys, nie wydaje jeszcze jasno owego bogactwa myśli, które autor miał się odznaczyć.

Głębszym, śmiałym i silnym w rozumowaniu jest rodak nasz w książce niewielkich rozmiarów, ale treściwej, napisanej po niemiecku: *Gott und die Palingenesie* (Berlin 1842). Jest to polemika filozoficzna, wymierzona przeciw Micheletowi, który także uczeń Hegla, w dziele swém: *Von der Persönlichkeit Gottes*, przekracza granice wytknięte przez mistrza swego w filozofii religii, i wypowiedziawszy jasno to, co Hegel może myślał, ale ukrył w labiryncie słów, występuje jako radykalista, podkopujący wyobrażenia biblijne i dogmatyczne. Cieszkowski porywa za pióro, występuje jako krytyk; jest filozofem, ale filozofem w którym kunsztowne rozumowanie nie wyziębiło uczuć chrześcijańskich.

W związku z dziełem o kredycie, jest praca Cieszkowskiego, zamieszczona w Bibliotece warszawskiej z r. 1842: *Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich*, i rozprawa treści ekonomicznej z tegoż roku: *O organizacji handlu drzewem i przemysłu leśnego*.

Jako ekonomista i filozof, nie mógł Cieszkowski pomijać żywotnych kwestyj politycznych i społecznych, a że nic nie uszło jego bacznego oka, że wszechstronny jego umysł zdolny jest do zgłębienia wszystkiego co zajmuje człowieka, jako obywatela i członka społeczeństwa, dowodem tego cztery drobniejsze rozprawy, a mianowicie: *O ochronach wiejskich*, w Bibliotece warszawskiej (1842); *De la pairie et de l'aristocratie moderne*. Paryż 1844; *Zur Verbesserung der Lage der Arbeiter auf dem Lande*. Berlin 1846; *Antrag zu Gunsten der Kleinkinderbewahranstalten, als Grundlage der Volkserziehung*.

Berlin 1846. Tak w rozprawie o polepszeniu bytu wyrobników wiejskich, jak o ochronach wiejskich, Cieszkowski trafia w jądro kwestyi społecznej, wykazując że kształcenie ludu, prowadzenie go po drodze



AUGUST CIESZKOWSKI, rysował Polkowski, podług litografii Fajansa.

wijania się kredytu publicznego, oraz splacania i redukcji długu publicznego. Całe dzieło nacechowane jest głęboką znajomością traktowanego w niem przedmiotu, a myślą przewodnią autora było wykry-

moralności, powinno zaczynać się od dziecięcia i w rodzinie. I tu znać ekonomistę, który traktuje lud nietylko jako siłę, mającą być należycie spożytkowaną w wielkiej machinie społecznej, ale jako lud złożony z ludzi i mający się wyrabiać na drodze chrześcijańskiego człowieczeństwa.

Najwięcej jednak uwagi godnym jest wydane bezimiennie, a w Encyklopedyi powszechniej, wydania Orgelbranda, w zeszytach 43, zaliczone do prac Cieszkowskiego: *Ojczasz*. Tom pierwszy, Paryż 1848, w drukarni Mauldego.

Ojczasz jest dziełem filozoficznym, dziełem znakomitej wartości, rozwijającym ideę chrześcijaństwa, prawdę pisma św., oryginalnym pod względem formy, świetnym pod względem języka. Twórca dzieła tego jest filozofem głębokim, jasnym w pojęciach i wypowiedzianiu ich, pomysłowym, ale w pracy jego widne ślady nietylko rozumu, lecz i gorącej miłości, miłości Boga, ojczyzny i prawdy. W *Ojczasz* autor staje na drodze, po której szedł twórca *Irydiona*, a jest to droga jedyna dla polskich pisarzy. Według naszego przekonania albowiem, pisarze polscy, jeżeli mają być prawdziwie narodowymi, muszą być do głębi duszy chrześcijańskimi. Powiadamy chrześcijańskimi, gdyż niech nas Bóg zachowa tak od de Maistrów i Veuilotów, jak i od wszelkich doktrynerów, chociażby w kontusz przebranych. Naród nasz, w dziejowym rozwoju, świadczy o sobie iż był chrześcijańskim, i dlatego, brzydząc się wykrętami dyplomacji, łamanymi zasadami zimnej, samolubnej polityki, poniósł szkodę materialną, ale duchowo zawsze góruje nad innymi. Nie potrzebujemy tego dowodzić; fakta lepiej tu przemawiają, jak wszelkie rozumowania. Nikt albowiem zaprzeczyć nie jest w możności, że Polska, gdyby była chciała, mogła posunąć granice swoje daleko, mogła podbijać, zdobywać i zdobyć swe zatrzymać. Inaczej się stało, bo polscy mężowie stanu czuli, rozumowali i politykowali po chrześcijańsku. Otóż i pisarze nasi winni, jeżeli chcą być narodowymi, brać się do pióra nie dla rozgłosu, ale dla pracy na chleb duchowy, którymby rzeszę karmili. Taką pracą jest *Ojczasz*.

Nie jest ani zadaniem, ani celem naszym dzieło to rozebrać; powiemy tylko, że kiedy Krasiński patrzy na świat i kraj jako poeta chrześcijański, kiedy Słowacki odkrywa tajemnice serca ludzkiego, w jego naturalnym stanie, twórca *Ojczasz* bada świat i zastanawia się nad nim jako filozof chrześcijański, filozof-poeta. I w nim panuje duch wieszczy, i on kocha i wierzy, kocha i pragnie odtworzyć świat, któryby wszedł w harmonię z ową miłością Bożą, objawioną w Chrystusie.

Jak we wszystkiem co ludzkie, tak i w dziele autora *Ojczasz* są usterki, jest pewna niezgodność z pismem św.; najgłówniejszy zarzut jednak, który mu uczynić chcemy, który mu za grzech poczynać musimy, jest ten, że minęło lat 14 od wyjścia pierwszego tomu *Ojczasz*, a ciąg dalszy, ciąg tak upragniony, dotąd się jeszcze nie pojawił.

Cieszkowski w 1847 r. opuścił królestwo i osiadł w wielkiem księstwie poznańskim. Wybrany na deputowanego, zasiadł w izbie pruskiej, gdzie jako mówca parlamentarny, władając wybornie językiem niemieckim, odznacza się jasnością wywodów, logicznością i niezrównanym pokojem.

Kronika tygodniowa.

Zimna, które przez cały prawie kwiecień i początek maja nieprzerwanie trwały, wywarły szkodliwy wpływ na zawiązki -tegorocznych urodzajów. Szczególniej, jak ogrodnicy utrzymują, owocom to może zaszkodzić немало. Mniejsza już z resztą o owoce, byleby zboża dopisały, a pod tym względem wiele się jeszcze może poprawić. W każdym razie ceny idą w górę, co jest dowodem że kupujący nie rachują na rok bardzo urodzajny.

Jednego z tych dni, przy dotkliwym zimnie i ciągle padającym deszczu, o godzinie 8ej wieczorem nagle błysnęło przeraźliwie i spadł piorun, chociaż niewiadomo gdzie uderzył. I dziwnym to było, że ten piorun sam jakoś wypadł, bez żadnego poprzednika, bez żadnego następcy. Grek powiedziałby że Zeus pojedynczą jakąś chciał ukarać zbrodnię. Rzymianin wyciągnąłby z tego przepowiednię i utworzył horoskop o przyszłości. Dla nas było to tylko dość dziwnym zjawiskiem, bacząc zwłaszcza na porę i obyczaje piorunowe; pioruny należą bowiem do towarzyskich ob-

jawów atmosferycznych i nie rade okazują się pojedynczo. Bądź co bądź, słyszeliśmy dorożkarza, który twierdził, że błyskawica wypisała po niebie jakieś dwie gwiazdy i wieniec po środku, i zazdrościliśmy mu zdolności obserwacji, bo co do nas, ani tych dwóch gwiazd, ani wienca nie mogliśmy dojrzeć.

Dziwniejszym jeszcze zjawiskiem były zimna, śniegi i mrozy, bo nawet starzy ludzie nie pamiętają tak chłodnego i niepogodnego powietrza w tej porze roku. Tylko w notatkach tutejszego obserwatorium astronomicznego znajduje się wspomnienie, że w r. 1834 dnia 11 maja upadł śnieg i że w niektórych miejscach więcej zakrytych przez trzy dni nawet leżał.

Pomimo tego jednak słowik odzywał się, jak zwykle w tym czasie, w botanicznym ogrodzie.

Dawno nie pisaliśmy o instytucie muzycznym, którego gmach wkrótce już odnowionym i urządzonym zupełnie zostanie. Tymczasem kursa odbywają się tam bezprzeznacznie; w tych dniach nawet pan Dobrski rozpoczął udzielać lekcye śpiewu. Pożądanym to bardzo nabytkiem dla instytutu.

Postanowiono również, że nauczyciele udzielający po mieście prywatne lekcye muzyki, będą odtąd ulegali egzaminowi w instytucie, któremu wyłącznie przysłuży prawo wydawania im patentów. Samo się przez się rozumie że prawo to stosuje się tylko na przyszłość, ale nie na przeszłość, tak jak wszystkie prawa winny obowiązywać. Uwolni to nas zapewne od zbytniego wzrastania liczby nauczycieli, którzy tym sposobem szkodzą tylko jedni drugim, a uczniom da poręczenie, że tylko ludzie prawdziwie znający swoją sztukę będą się podejmować kształcenia ich muzycznego. Jesteśmy zwykle przeciwko wszelkim ściśnieniom, ale tego rodzaju ściśnienie uważamy za bardzo korzystne.

Kiedyś wspomnieli o muzyce, powiedzmy także parę słów o wystawie obrazów, która w tych czasach wieloma pięknymi przyozdobiła się utworami. Pomiędzy innymi odznacza się tam obraz pana Kostrzewskiego, wyobrażający tradowanie chudoby włościańskiej, malowany z uczuciem i prawdą wielką. Panu Kostrzewskiemu obrazy tego rodzaju najlepiej się udają, zbałał on wybornie fizyognomią włościan naszych, wszelkie cechy miejscowe i umiejętnie je odtwarza. Tymczasem malarstwo czeka na szczęśliwszą dla siebie porę, bo teraz rzadko komu chce się kupować nawet rzeczy pierwszej potrzeby, a cóż dopiero utwory sztuki.

Toż samo dzieje się i z książkami, które nawet tak zwątpili o zmianie losu dla siebie, że się nie pojawiają wcale. Wyszedł jednak w tych czasach jakiś zbiorek poezyj (rzadkie jak na teraz zjawisko), ale przyznajemy szczerze iż nie mieliśmy odwagi go przeczytać. Może tam pod tą pomarańczową okładką są bardzo piękne rzeczy; ale rzuciwszy okiem na pierwsze stronicie i znalazłszy wiele bardzo pod względem formy usterków, lękaliśmy się ciągnąć dalej naszą inwestygacją; bo poezya, to wielka dama, i winna się ukazywać czytelnikom w starannej, jeśli już nie w wykwintnej szacie. A zwłaszcza dziś. Dzisiaj trzeba albo dobrze pisać, albo wcale nie tykać się pióra. Bywają chwile w których śmiało a głośno uderzenie w lutnię jest dowodem wielkiej odwagi, zaufania w siebie. Dzisiaj w całej niemal Europie muzy milczą, a gromko tylko przemawiają głosy z trybun i namiętne wykrzyki dziennikarstwa. I gdzieżby synom Apollina, lubiącym przedewszystkiem spokój i ciszę, odzywać się w takim rozstroju, w takim gwarze! Może za to nasza epoka stanie się kiedyś nieprzebranym źródłem dla poetów, którzy czerpać z niej będą natchnienie. Znajdą się tam dramata i epeje, byleby talentów na utworzenie ich stało. A my tymczasem uznajmy naszą bezsilność, patrzymy i czekajmy.

Pod względem wydawnictwa, w publikacjach illustrowanych widać jeszcze niejaki ruch, który gdzieindziej ustał zupełnie. W zakładzie litograficznym p. Dzwonkowskiego wyszło niedawno Album miasta Kijowa, ze szczegółowym opisaniem tegoż miasta, cenniejszymi widokami i planem z XIII wieku. Dodaje tej publikacji wartości rys historyczny Kijowa, od początku jego założenia, aż do naszych czasów, przez J. Bartoszewicza.

I cóż odpowiem czytelniczce, która zarzuca mi że od pewnego czasu kronika moja mniej jest barwną aniżeli dawniej? Barwność, jest to szerokie bardzo wyrażenie. My sprawodawcy przedmioty do naszych sprawozdań czerpiemy z życia otaczającego nas, artykuły nasze są więc tylko koniecznie odbiciem tego życia: co się tam znajduje, to i tu odbić się musi. A życie u nas dzisiaj jest skoncentrowane, domowe, wiele utraciło z tej barwności, której się czytelniczka domaga. Po domowych kółkach, przy ogniskach rodzinnych zbierają się tylko najbliższe siebie grona; brak miejsc na których najłatwiej zbadać można tęt-

na publicznego pulsu; nie wdzierać się zaś publicznie do sprawodawcy w tajemnice życia domowego, które powinno być szanowane jako świętość.

Nawet karty, owa zabawa co dawniej tylu warszawian jednoczyła około zielonych stolików, utraciły wiele ze swego powabu. Dystrybucye o połowę mniej sprzedają tego towaru, tak niegdyś pokupnego. Preferans znika, wist ledwie żyje, a o grach hazardowych ani już mówić nawet. W kawiarniach warszawskich rządy kijów bilardowych stoją beczynnie, świecąc biało nakredowanymi główkami, bile zamknięte w szafkach dziwią się spokojowi jaki je otacza, a markier z założonemi rękami rozmyśla nad lepszymi czasami bezpowrotnie może minionej przeszłości. Nawet stoliki szachowe opróżniły się, i gracze i galerya, których nigdy nie brakło, poszli gdzieś innych szukać zajęć, i zaledwie czasem tylko jakaś ciekawa końcówka rozegra się na prędce, bo każdy się tłumaczy, że do prawdziwej partyi trudno mu zebrać myśli.

Kawiarnie z najwyższej biedy przetrzuciły się na literaturę, i to je już tylko ratuje. Dawniej ograniczały się one na samym wyłącznie Kuryerku, żywiąc nieprzewyciężony wstręt do wszelkich innych cokolwiek obszerniejszych pism, a to z tej mianowicie zasady, że większe pisma tak zagłębiają w sobie uwagę czytelnika, tak go jednym słowem zumysławiają, że z wielkiego zajęcia zapomina o jedzeniu i pić, na czem kawiarnia widocznie traci. Ale dzisiaj, kiedy już niema innej rady, trzeba było się przeprosić z temi tak dawniej potępianymi pismami. Niektóre kawiarnie przemieniły się w formalne gabinety do czytania, zaprenumerowały nietylko krajowe, ale i zagraniczne pisma, i co kilka dni ogłaszają o tém swoim poświęceniu w doniesieniach gazeciarskich.

Trzebaż dopiero widzieć jaki jest niepokój i niezadowolnienie zwykłych gości takich miejsc publicznych, kiedy przyjdzie dzień w którym gazety nie wychodzą, a nawiasem mówiąc, w samym bieżącym tygodniu takich dni mieliśmy cztery, bo tylko we wtorek w piątek i dzisiaj w sobotę pojawiły się pisma peryodyczne. Jakies rozczarowanie pada na wszystkich, nikt sobie miejsca znaleźć nie może, wszyscy z niecierpliwością oczekują na nowiniarzy z urzędu, których jest kilku w każdym z takich miejsc publicznych, a których rola w dniach wychodzenia gazet w części upada. O gdybyż redaktorowie byli tam wówczas i słyszeli wyrzekania na *rekreacye* które sobie robią, dopierożby się przekonali jak ważnymi zdrojowiskami publicznego życia u nas stały się ich pisma.

Kiedyś nawiasem wspomnieli o nowiniarzach z urzędu, musimy jeszcze o nich parę słów powiedzieć. Dziwny to rodzaj ludzi. Nie mogąc znaleźć innego sposobu nadania sobie pewnego stanowiska w społeczeństwie, jeśli się dość łatwego zatrudnienia roznośnienia nowin i plotek, i wyrobili sobie przez to pewne miejsce, stali się niezbędnymi innym; a że przyzwyczaili już ludzi do tego, iż za każdym ich gdzie pojawieniem się czegoś nowego od nich spodziewać się trzeba, nie codziennie zaś nowość tak koniecznie na poczekaniu i dla ich wygody się wydarza, stali się przeto mniej skrupulatnymi w prawdziwości słów swoich, przesadzają często, zgola nawet powtarzają zupełnie zmyślone nowiny, byleby coś powiedzieć. Ktoś na przykład powie, że to albo owo mogło się stać: nowiniarz który zasłyszeli to zdanie, przemienia przypuszczenie w fakt, ozdabia ten fakt własnymi dodatkami, według wyobrażeń lub usposobienia osób którym to ma powtarzać, cytuje źródła najwiarogodniejsze, aż nareszcie sam gotów uwierzyć w prawdę słów swoich.

Kiedy kto pokazuje mu nieufność, nowiniarz wpada w najstraszniejszy gniew. Jak można przeczyć jego słowom? Widział on to albo czytał na własne oczy, gotów przysiąc na to. Jeżeli się wykaże kłamstwo, wzrusza tylko ramionami, nie odpowiada na zarzuty, a czasem nawet sprzecza się że inaczey to mówił, a inaczey go zrozumiano; gotów jednak za chwilę znów przysięgać na inną jaką nowinę, równie fałszywą jak tamta.

Tacy nowiniarze są podług mnie prawdziwymi plagami społeczeństwa. Słowo jest świętością, której w żadnym razie nie należy nadużywać; słowo raz wyrzeczone nabrało już znaczenia, stworzyło już coś; na słowie się buduje nieraz, a biada budynkowi którego podstawa okazuje się niepewną. Kłamiwi nowiniarze i plotkarze sami nie wiedzą ile szkody wyrządzają drugim przez fałszywe jakie rozsiewają. Zawsze powinno to być naszą zasadą, dziś zwłaszcza więcej niż kiedykolwiek, że kłamstwa należy nam chronić się jak morowej zarazy, że usta nasze nie mogą, nie powinny kalnąć się fałszem. Jest to uwłaczaniem sobie, nie-

poszanowaniem dla drugich, szkodą dla ogółu. W prawdzie tylko leży prawdziwa siła, prawdziwy wpływ moralny; wszelkie dodatki upiększenia zmniejszają i osłabiają ten wpływ. Kiedy nie można powiedzieć prawdy, trzeba milczeć, a zmyślać w żadnym razie się nie godzi.

Postać nowiniarza z urzędu jest u nas tak charakterystyczną, że poświęcimy jej może wkrótce osobny artykuł w Tygodniku.

Pomimo chłodnej jeszcze pory, mnóstwo osób wyjeżdża z Warszawy na prowincję. Wielu bardzo czyni to przez oszczędność, bo pieniądź teraz rzadki, a życie w Warszawie po dawnemu kosztuje drogo. Zda się że domów bardzo mało będzie się budować w tym roku, pokończą się te co w przeszłym były zaczęte, a i tak trudno jeszcze wziąć się do fabryk, bo pora nie potemu.

Tutaj następuje nam się jedna uwaga. Przeszłego roku budowano w mieście naszym sporo domów. Na tych domach, niedokończonych jeszcze, nieotynkowanych, niepokrytych dachem, bez drzwi i okien, rozwieszono są kartki, że tam znajdują się lokale do najęcia już od świętego Jana. Chwalebna jest ta ekonomiczna zasada panów właścicieli, chcących żeby im kapitał zaraz przynosił odpowiedni procent; ale pytam się, jaka jest przyszłość ludzi nieopatrznych, którzy się zwabiają na ową ponętą świeżość mieszkań i najmą je?

Najprzód będą oni musieli przez kilka tygodni, albo nawet przez cały kwartał, mieścić się w jakim na prędce wypożyczonym pokoiku, podczas kiedy w całym mieszkaniu kończyć się będą roboty mularskie, malarskie, stolarskie, szklarskie i t. p. Bo do świętego Jana zaledwie dwa miesiące czasu, każdy zaś kto zechce się przyrzec domom o których mowa, pojmie łatwo że tam, przy największej pilności i szybkości roboty, jeszcze dobre pół roku czekać potrzeba, zanim wszystko dokładnie urządzone zostanie. Powtórę mury nowe, choćby najdokładniej i podług wszelkich wymagań sztuki tegoczesnej (co nie wszędzie się zdarza) budowane, muszą koniecznie schnąć przez pewien czas i wydzielają z siebie wilgoć bardzo szkodliwą dla zdrowia ludzkiego. Więc lokator który się sprwadzi do takiego mieszkania, oprócz niewygody jaką przez pierwszy kwartał koniecznie przecierpi, przez pół roku albo przez rok następny, musi na własnych kościach, kosztem zdrowia rodziny, osuszać mieszkanie, co zwłaszcza dla małych dzieci, albo dla ludzi w podeszłym wieku, jest bardzo niebezpieczną operacją.

A przycem niektórzy właściciele takich domów, dla zwabienia lokatorów, odnajmują lokal na rok albo dwa lata tanięj, a kiedy lokator wycierpi już wszelkie niewygody i z własną szkodą osuszy lokal zupełnie, zjawia się właściciel i podwyższa komorne, twierdząc że lokal wzięty wart, bo już suchy i dobry.

Dodać należy że wiele nowych domów budowanych jest u nas o ile możliwości z największym oszczędzeniem kosztów, i z tego powodu wilgoci nigdy się tam pozbyć nie można. Wychodzi ona na wszystkich piętrach i tworzy dla zamieszkujących dom, pewien rodzaj sztucznej piwnicznej atmosfery, najszkodliwszej dla zdrowia.

Czyżby zabranianie wynajmowania niedokończonych jeszcze lokali, nie należało do przepisów zdrowia publicznego? Zda się że nie byłoby to w żadnym razie ograniczeniem prawa własności, gdyż tak Boskie jak i ludzkie prawa nie pozwalają nam korzystać z naszej własności ze szkodą drugich. Powie kto że wolna wola nająć lokal albo nie, i że właściciel nie przymusza wcale lokatorów do szukania mieszkania w niedokończonych domach, wywiesza tylko kartkę, a każdemu wolno obejrzeć co najmuje. Prawda, gdyby społeczeństwo nasze nie składało się z ludzi dziecinnie prawie niedbale o swoje dobro, uwaga ta miałaby za sobą pozor słuszności. Ale tak często się zdarza, że z braku rozmysłu, albo z innych jakich przyczyn, działamy własnowolnie przeciw sobie samym, że nie należy nam jeszcze ułatwiać tego działania. Gdybyśmy wszyscy byli zupełnie dojrzały, gdyby wielu z nas nie potrzeba było prawie na pasku wodzić, przepisy porządkowe i higieniczne stałyby się zbędnymi.

Ubogich przybyło znacznie, ludzie nawet nie starzy jeszcze, ani kalecy, chodzą po domach i wyciągają rękę, skarżąc się na brak roboty. A nie można znówuż ich odtrącać, bo rzeczywiście prawdę mówią, o robotę w obecnej porze bardzo trudno. Jest u nas wiele zatrudnień, które na lato dopiero się rozpoczynają, a ponieważ zimna przeciągnęły się dłużej

niz zwykle, więc i nie rozpoczęto jeszcze robót, które zazwyczaj o tym czasie mają miejsce. Możemy się jednak pocieszyć, że przynajmniej niedogodność tę mamy wspólną z krajami najbardziej ucywilizowanymi. Na prowincyi brak rąk, w mieście ich za wiele, a przecież Warszawa stosunkowo nie okazuje takiego przyrostu ludności, jakby się spodziewać można, baczając na te wszystkie okoliczności. Ani ją przyrównać do innych miast, gdzie przyrost roczny liczy się na dziesiątki tysięcy, a czasem, jak na przykład w Londynie, na sta tysięcy. Więc pocziwa Syrena nasza, jeżeli wielu zawodzi, to przynajmniej ma tę zasługę że nie wabi tak na zabój.

Rzadki wypadek miał świeżo miejsce w mieście naszym: kobieta powiła troje dzieci. Prosty lud mówi, że w latach w których najwięcej bliźniąt się rodzi, trzeba się obawiać głodu. Cóż dopiero powiedzieć o trojaczkach. Przepraszam jeżeli błędę w nazwie, bo rzecz się tak rzadko zdarza, że w istocie nie wiem jak się nazywają naukowo owoce tak nadzwyczajnego porodu. Może też głód jest przywiązany tylko do parzystej liczby, a nieparzysta, na wywrót rzymskiemu przysłowiu, wróży obfitość.

Kiedym zaczął o Rzymian, muszę powiedzieć że takie dziwne porody musiały się u nich nierzadko zdarzać, bo prawo rzymskie je przewidywało jako dość zwykły wypadek. U nas zdarzało się to także częściej jak dzisiaj, a przodkowie nasi mieli tak litościwe serca, że tego rodzaju nadzwyczajny poród stawał się zwykle źródłem zamożności dla rodziców. Składano się na nich: bogata szlachta i magnaci, sam król nawet, przysyłali znaczne dary.

Za Stanisława Augusta mieszcza jakaś porodziła troje dzieci. Były one tak małe, że wszystko troje zmieszczono na półmisku srebrnym i zaniesiono tak przed króla. Obdarował on 'hojnie rodziców, a dwór i panowie uczynili na nich składkę. Jedno z tych dzieci umarło, dwoje zaś pozostałych, chłopiec i dziewczyna, dożyli późnych lat. Oboje byli bardzo wysokiego wzrostu; on został rzeźnikiem, ona zaś poszła także za rzeźnika. Żyją jeszcze pomiędzy nami tacy, którzy ich pamiętają.

ZAMEK ORAWSKI.

(Obrazy z polskich i słowackich Karpat, Prokopa Rudnego).

.....Stanęliśmy tedy u celu swęj podróży, bo na grzbiecie Tatrów. Wkrótce weszliśmy jeszcze na jeden skalisty wierzchołek, a od południa roztwarł się przed nami uroczy i wielki wąwóz liptowski, zamknięty w tyle pasmem Niższych Tatrów, nad któremi jakby ostrokregi wznosiły się *Królewska hola* i *Dumbjer*. Nieokreślone uczucia rodziły się w naszych pierśiach przy tym widoku na kraj, który ze swemi górami, lasami i osadami rozpościerał się przed nami jak czarowny obraz ziemi obiecanej. Od zachodu piętrzył się Chocz i Babia góra, od wschodu powyginane góry otaczały Krywań; na północ zaś ciągnęło się szare pasmo Beskidów, a na przodzie głęboka dolina Kościeliska.

Tu, w samem sercu Słowiańszczyzny, na szczycie góry *Pysznęj*, wesołe spijaliśmy toasty za zdrowie braci Słowian, marząc o naszych nadziejach, tak pełnych jak skały tatrańskie.

Następnie, idąc grzbieciem Tatrów, udaliśmy się do Smerczyny, ożywionej pasącym się na tej górze stadem owiec. dalej wąwozem do żelaznych dolów i narzecie ścieżkami do Kościeliska. Wróciliśmy jeszcze przed zachodem słońca. W czasie naszej wycieczki na górę *Pysznęj*, bawiący tu polscy goście dowiedzieli się o przybyciu Czechów z Pragi i niebawem spotkanie się nasze, jako braci Słowian, przybrało charakter rodzinne powitania. Towarzystwo składało się z dwóch starszych dam, z dwóch pięknych panien, jednego podżyłego, a drugiego młodego, bardzo ukształconego mężczyzny. Musieliśmy Polakom opowiadać o naszej podróży, o czeskiej krainie, o drogich Słowianom skarbach i pamiątkach, o naszym języku, pieśniach i muzyce. Towarzysz mój, tegi gracz na gęśli, znalazłszy ten instrument niespodziewanie u gospodarza, jak zasiadł, jak począł wygrywać polskie i czeskie piosenki, z właściwym sobie darem i uczuciem, to wkrótce prawie cała wieś się zbiegła przed dom, za którego wystawionymi stołami nasze towarzystwo się usadowiło. Zabawa ta, przy pięknym, ciepłym wieczorze, przeciągnęła się aż do późnej nocy.

Nazajutrz, nagleni potrzebą dalszej podróży, smutnego doznaliśmy uczucia przy rozłączeniu się z bra-

ćmi Polakami. Po wzajemnej wymianie pamiątek i obietnicy nowego tu spotkania się, ruszyliśmy wąską drogą ponad rzeką, przez wsie Czarny Dunajec i Nizki Bór, do granic orawskiego komitatu. Granica galicyjsko-węgierska idzie przez mokre zarośla, dzielące Dunajec od Wisły. Krajobraz lekko się wznosi do osad Pekelnika i Jablonki, gdzie czarno-żółte tablice ze słowackimi napisami upewniły nas iż się już znajdujemy w orawskim komitacie, chociaż tu jeszcze mówią z polską po góralsku. Na nowotargkiej bowiem równinie język polski ciągnie się aż do północno-wschodniej części orawskiego komitatu, a stąd za Terstenną panuje już czesko-słowacki. Na stronie północnej i zachodniej wznoszą się wysokie góry, jak: *Babia* (5400 stóp), *Orawska Magura* (4000 stóp), a od północy Tatry ciągną się szerokimi wzgórzami, jezającemi się wirchami, jak: *Osobita* i *Skoruszyna* (3000 stóp). Wszystkie te góry porosłe są lasami i rozciągniętymi pastwiskami, wśród których zagłębia się nowotargka dolina. Jest tu także szeroki otwór karpaccich gór, podobny do wielkiego przesmyku w Szumawie w *Domallicach*. Tędy szła najdawniejsza droga z Węgier do Polski, a przejście to było strzeżone przez leżący na południu zamek orawski.

Od wsi Jablonki, którą należy odróżnić od miasteczka tegoż nazwiska, leżącego w przesmyku między cieszyńskim a trenczańskim komitatem, poczyna się potok prowadzący ku południowi do pięknych zarośli, obok którego ciągnie się szosa do wsi Chyżny nad Czarną Orawą. W Twardoszynie Czarna Orawa łączy się z Białą, wypływającą z gór pogranicznych, droga zaś na lekko pochyłym uboczu snuje się między Chyżną a Twardoszyńcem, z kądem już wąwóz się poczyna. Wszystkie przyległe góry i w tyle stercząca wielka Babia góra, otaczające dolinę orawską, są piaszczyste, tylko kosmaty grzbiet gór liptowskich, dzielący Liptowę od Orawy, i pasmo skalne, którem się z dawną uporczywością rzeka Orawa od Twardoszyna aż ku Kubinowi snuje, składają się z wapienia, malowniczo ugrupowanego.

Otoczona tak dokoła porośniętymi górami, dolina orawska, środkiem skropiona piękną rzeką, bardzo czeską ziemię przypomina. Przypomnienie to nasuwa się także i pod innemi względami. Cóż to za silny i prześliczny lud! Wszyscy mężczyźni wysmukli jak jodły, z twarzami o pięknych rysach i znaczącym wyrazie; dziewczęta i kobiety pełne powabu, z nad podziw małemi nóżkami i zdrową białą picią; wszyscy odważni, a każdy hoży, śpiewny, każdemu z twarzy tryska poczciwość i uprzejmość; a nadewszystko jakże przyjemnie brzmiała w naszych uszach ta pokrewna, dźwięczna ich mowa! Szczęśliwi jesteśmy i dumni, że ci Orawianie, Turczanie, Liptowianie, Zwolenicy i owe wszystkie szczepy słowackie, stanowią początek naszego narodowego plemienia.

Tylko nieco swobodnego oddechu, a my Czechowie, Morawianie i Słowacy, z naszą małą różnicą narodowości, pokazemy światu do czegośmy zdolni i jaki stopień możemy zająć w pośród ludzkości. Takie myśli snuły mi się po głowie w czasie romantycznej podróży przez orawski wąwóz.

Terstenną, gdzieśmy najprzód język słowacki posłyszeli, jest małą wieściną z dwoma kościołami i 2700 mieszkańcami. Tu urodził się znany filolog, dzisiejszy profesor narzeczy słowiańskich w uniwersytecie prażskim, pan *Hattala*. Miasteczko leży w wąwozie Orawicy, prawie na początku wapiennego pasma ciągnącego się aż ku stronie północnej Tatrów. O godzinę drogi niżej, u stoku Czarnęj i Białęj Orawy, leży drugie miasteczko *Twardoszyń*, wzniesione nad poziom morza na 1700 stóp, z kądem ciągle już jedzie się ponad rzeką między malowniczymi skałami, częścią nagiemi, częścią lasem porośniętymi, przez wsie Krasna Horka, Niżna Podbiela, Kriva, Długa, Dubowa, górna i dolna Lehota, aż do zamku orawskiego. Wszystkie te wsie, chociaż z drzewa budowane, przecież są bardzo okazałe, smakiem oraz czystością się odznaczające, i polskim za wzór wybornie służyć mogą. Urok brzegów skalistych, o różnorodnych odcieniach, bystra, jasnozielona woda Orawy i piękne położenie wsi tworzą krajobraz, któremu żaden może w Czechach ani w Morawie nie dorówna. W ciasnym wąwozie każda piędź ziemi została w ogród zmieniona, a na spadziściach gór między zaroślami i pastwiskami, snują się zagony, wytrwałością pracowitych Orawian wyorane. Na szczytach znów gór niedostępnych dla pluga, rozsiadł się żywioł pasterski. Wszędzie widać stada bydła, owiec, trzody, i wszędzie słychać śpiewną nutę pieśni i odgłos wtórującej piszczałki, tak iż w którąkolwiek się zwrócisz stronę, wszędzie cię otacza sielskie życie, z wrodzoną temu ludowi wesołością. Cóż więc dziwnego, że jeśli raz tu zawitasz, już stron tych nie zapomnisz.

Madziary, nawykli do niezmiernych okiem równin, uważają Orawę za opuszczoną krainę, zowią ją *Arva* czyli sierotą, a jednak żaden Orawianin nie pominałby się za kraj swój na najniżniejszą okolicę między Cissą a Dunajem. Co tu zbywa na roli, to wynagradza chów bydła, trzody, tkanie płótna, handel drzewa, a głównie pilność wzorowa i ograniczenie się w domowych potrzebach.

Sercem całej Orawy jest zamek orawski, wznoszący się na stromiej wapiennej skale, na prawym brzegu rzeki. Wyszedszy z krzywizny wąwozu do Leboty, na pierwszej skale przedstawia się twierdza. Z tej strony cała skala wygląda jak spiczasty obelisk, nieco pochylony, jakby miał już runąć, a tylko na samym szczycie stoi małe zabudowanie, niby w obłokach utkwione. U stóp prawie zamku płynie rzeka, wyginająca się w ostre zakręty, a minawszy ją spostrzeżemy z drugiej strony zamek w zupełnie innej postaci, na podobieństwo trzech zamków nad sobą się wznoszących.

Z powodu spóźnionej pory, zwizdzenie zamku odłożyliśmy do dnia następnego, a tymczasem usadowiliśmy się w żydowskiej karczmie. Tu znaleźliśmy towarzystwo ożywione rozmową niejakiego Magyara, urzędnika zamkowego, i dwóch dziarskich studentów słowackich na święta tu przybyłych, krewnych owego urzędnika. Magyaron wychwalał madyarszczyznę i *teremtietit* dowoli, studenci zaś wkrótce zaczęli z nami rozmowę o naszych walkach między językiem pisanim, a ludowem narzeczem słowackim.

— Lud tylko się językiem ludowym da ukształcić, mówili. Nasze myśli i potrzeby są inne niżli Czechów i dlatego tylko rodowym językiem możemy je objawić.

— W tém też właśnie błąd, odrzekłem, w którym uwiecziliście siebie, że nas poczytujecie nie za rodzonych braci, lecz za odległych kuzynów. Z jakąż to przykładną starannością Madziar wyszukuje swoich współplemieńców w Multanach, Bukowinie, ba nawet w Tybecie; a wy staracie się o wynalezienie oznak różniących braci.

— Nie my, odrzekli Słowacy, lecz właśnie wy oddalacie się od jednej naszej matki, od słowiańszczyzny. Dlaczego żądacie abyśmy czyściejszy swój język za wasz wymienili, dlaczego nie czerpicie ze źródła co u nas tak obficie tryska?

— Któż temu zaprzecza? odrzekłem. My właśnie to za wielką wartość naszego języka poczytujemy, że ma podrzecza tak piękne i oryginalne, które nie dopuszczają aby nieforemnym zбочeniem piśmiennego języka mowa nasza się skaziła. Wasze słowackie narzecze jest jak górski obraz, z wyniosłymi jodłami, bukami, jaworami; nasza zaś czeszczyzna jak las przez umiętynnych leśniczych uporządkowany. Ani jedno ani drugie narzecze nie jest jeszcze ukończonym piśmiennym językiem, który ojcowie wasi i nasi tak umiejętnie kształcili. Śpiwajcie i piszcie w miłych nam wszystkim narzeczech słowiańskich, ale na Boga! nie twórzcie nowej pisowni. Mówiąc o tym przedmiocie, dodajmy, że wzajemnie mało się znamy; większa byłaby korzyść, gdybyśmy się nie z ksiąg, lecz osobiście poznawali, i gdyby młodzi Słowacy, zamiast do Wiednia lub Pesztu, lepiej do naszej starej Pragi przyjeżdżali.

Urzędnik, rodak nasz, wmięszal się wtedy do rozmowy i przekonywał nas, że stawione żądanie jest rzeczą niepodobną, z powodu iż lud słowacki potrzebuje ukształcenia, a my Czechowie nie mamy tak obfitej literatury, żeby Słowakom mogła dostarczyć koniecznej oświaty. Wypadałoby więc raczej chwycić się środków praktyczniejszych, podawanych przez szkoły, to jest języka niemieckiego, za pomocą którego najprędzej i najpewniej osiągniemy celu, chociaż nie zbawimy swojej narodowości.

Przyznając żem spłonał wstydem, słysząc podobną mowę z ust rodowitego Czecha, i teraz pojmuje dlaczego jednomyślnie między Czechami i Słowakami,

w ostatnich dziesięciu latach zaledwie co powstała, już ginąć poczyna. Sądzę że to cośmy słyszeli, było tylko objawem kalectwa umysłu i serca; zawsze jednak boleśnie, że kilka podobnych zdarzeń wystarcza do rzucenia płamy na imię czeskie, przed narodami honor i istnienie swe miłującymi.

—Poznajcie, rzekłem do Słowaków i dobrze odróżniajcie tych panów, od swoich wiernych braci czeskich. On nie wie co mówi i czyni; bo czém pała wasze serce, wierzajcie mi, czuje to każdy poczciwy Czech, a Bogu dzięki, liczba poczciwych znacznie jest większa.

Braterskiem, czułem pozdrowieniem rozłączyliśmy się z męznymi Słowakami, dotknięci mocno wrażeniem jakie wywołało niemiłe spotkanie z naszym rodakiem.

Następny dzień poświęciliśmy zwizdzeniu zamku orawskiego. Rad stronię od pańskich zamków, jeśli w nich prócz przepychu, dojrzyć niczego nie można;



ZAMEK ORAWSKI OD STRONY PÓLNO-CNO-WSCHODNIEJ.

lecz zamek orawski nie tylko wystawnością zwróci uwagę każdego, ale i historycznymi wspomnieniami, bo los jego ściśle był złączony z dziejami węgierskiego królestwa. Wielka ilość i rozległość budowli, potężne wieże i strażnice przekonywają, że stoimy nie przed zamkiem szlacheckim, ale przed twierdzą królewską.

Sam zamek jest zbudowany na południowej stronie wielkiej skały, której strona północna prostopadłe nad rzeką Orawą się wznosi. Trzy oddzielne zamki stoją nad sobą, tylko mostami i schodami połączone. Przez most zwodzony i trzy bramy wchodzi się do pierwszego. Ztąd wiedzie droga, wzmocniona fortyfikacyami, do podwórza, którego wejścia strzeże silna wieża, a na niej herb hr. Zichy; napis oznajmia iż zamek ten w r. 1800, po wielkim pożarze, przez hr. Franciszka Zichy odnowiony został. Naokoło podwórza ciągnie się dawny pałac, dziś mieszkanie urzędników, i stary gotycki kościół, z grobami hrabiów Turzów i Stefana Tökölego.

Do drugiego zamku prowadzi dwoje schodów przez silną bramę. Zamek ten widocznie starszy jest od dolnego i składa się z mnóstwa gotyckich budowli, pomieszanych z wążkami korytarzami i małymi komnatami. Tu znajduje się także studnia bardzo głęboka, wykuta w skale i idąca aż do powierzchni Orawy.

Na przykręj górze wznosi się trzeci zamek, do którego prowadzi już tylko wązkie, strome schody w skale wyciosane; stanowi on małą, lecz bardzo warowną twierdzą, bo na samym szczycie przechylonej skały postawioną. Najwyższe miejsce zajmuje mała kaplica. Ten zamek jest jeszcze starszy od drugiego i obejmuje tylko małe komory, o niskich drzwiach i wązkich oknach.

Dzieje orawskiego zamku mają początek w odległej przeszłości. Zapewne już oddawna stała tu twierdza, broniąca tego jedyne wygodne wejście do kraju; przynajmniej nie ulega wątpliwości, że w połowie już 14 wieku zamek orawski był twierdzą królewską, zarządzaną przez królewskich kasztelanów. Pierwszym z owych kasztelanów, którego imię się przechowało, był r. 1348 Hipolit hr. Krzemnickiej komory.

Za czasów Karola I i Ludwika I, z których ostatni i polską piastował koronę, Orawa często podejmowała królewskiego pana z jego świtą. Z tej to epoki stare budynki w środkowym i najwyższym zamku pochodzą.

Już w r. 1380 zamek ten zostawał w posiadaniu braci Władysława i Jana Kazy, r. 1395 w rękach Władysława wojewody opolańskiego, a r. 1409 w posiadaniu palatyna Mikołaja Gary, któremu był darowany przez niebłogię pamięci Zygmunta króla czeskiego. Później r. 1426 zamek dostał się do rąk Andrzeja Baluskiego, a w r. 1430 był już własnością braci czeskich, którzy pod sławnym Iskrą dla Władysława go zdobyli.

Za króla Macieja Korwina zawartą została zgoda z Iskrą, i od tej chwili znowu Orawa była twierdzą królewską, z oddzielnymi kasztelanami. W tym także czasie Orawa nabyła nowego znaczenia w wojnie Polaków z Węgrami.

Za słabych rządów następców Macieja, Orawa miała znowu kilku posiadaczy ze szlachty węgierskiej; w czasie wojen cesarza Ferdynanda i Jana Zapoly o koronę węgierską, była w rękach ostatniego, który ją dał z innymi zamkami przyjacielowi swemu Mikołajowi Kostce z Siedlec, dowódcy polskiego posiłkowego wojska. Jego syn Wacław, zostawił Orawę w dziedzictwie córce swej, pięknej Barbarze (1558).

Biskup nitrański Franciszek Thurzo, ujęty jej wdziękami, postanowił przejść na łono protestanckiego kościoła, żądał i otrzymał rękę Barbary, a z nią i zamek Orawę, który potem już w jego rodzie pozostał. Sławny palatyn Jerzy Thurzo został w r. 1606 przez Rudolfa II jako dziedziczny pan orawski potwierdzonym. Chociaż wiernie się trzymał swego króla w krwawych

potyczkach, jakie na początku 17 wieku Boczkaj staczał z cesarzem, syn wszakże jego i następcą, Emeryk, złączył się z księciem siedmiogrodzkim Betlenem, i od tej chwili zamek został przytułkiem burzliwej szlachty. Po wymarciu Thurzów, Emeryk Tököly, jeden z głównych spiskowych przeciwników Leopoldowi I, odziedziczywszy zamek po swej matce z domu Thurzowej, zle go bronił przed wojskiem hr. Szporka. Zamek został zdobyty, a dowódca Tökölego, imieniem Pika, żywcem na kół wbito.

Od tej chwili zamek przestał być polem walki,

a po zniesieniu twierdzy przeszedł do następców dawnego rodu Thurzów i odtąd łącznie z państwem orawskim w ich rękach zostaje.

(Z Czeskiego przełożył J. F. Nowakowski).

UBIORY NIEWIAST TEGOCZESNE.

W XII i XIII wieku niewiasty polskie używały do swych ubiorów wyłącznie prawie sukna i płótna, zostawiając bławaty i złotem przerabiane materye panującym. W wieku XIV skromne dotąd ich potrzeby znacznie się już powiększyły: zaczęto nosić perły i drogie kamienie, kosztowne rańtuchy i welony. Od połowy XV wieku zbytki széroko się u nas rozgościły: dziewczęta chodziły z odkrytą głową, ze złotą przepaską, stroiły się w suknie z materyi jedwabnej i kwiaty; mężatki zaś, jak pisze Bielski, przesadzały jedna drugą drogich materyach, fałdowanych sukniach, biretach, pantalach, krezach i t. p., nosząc na palcach pierścienie, a na szyi mnóstwo bogatych ozdób. Około r. 1570 mężatki zaczęły przywdziawać jedwabne

lub futrzane czapki i kabaty, sznurowane nie z przodu, jak inne suknie ówczesne, ale z tyłu. Za Augusta III suknie sięgały z przodu aż do kostek, z tyłu zaś wlekły się długim ogonem, który za bogatszymi paniami nosili paziowie. Nastąpiły potem rogówki, prababki dzisiejszych krynolin, noszone tylko przez damy szlacheckiego rodu. W rogówkach wszędzie było ciasno:

gły za fortecę. Za Stanisława Augusta noszono kamizelki, robiony, kontusiki, jubki z kapiszonami i angażantami do wiązania w tyle, zústokory (juste au corps) bławatne, bramowane dostatnio i zakładane, czapeczki niemarszczone i marszczone, kołpaczki i kołnierze gronostajowe,—aż gdy ze zwolnieniem powszechnym obyczajów, i niewiasty polskie poczęły ubierać się według wzorów greckich i rzymskich, estetycznych wprawdzie, lecz niezawsze odpowiednich wymaganiom skromności.

Po wszystkie też czasy pisarze współcześni, jak: Commendon, Zbylitowski, Górnicki, Starowolski, Bielski, Miaskowski, Klonowicz, Rej, Wacław Potocki i inni, uskarżali się na zbytki i przesadę w strojach naszych kobiet, występując przeciw nim z całym arsenałem pism satyrycznych i wierszy ulotnych. Między innymi r. 1603 wyszło w Krakowie, w drukarni Łazarzowej dzieło pod tytułem: „Exorbitancye o rzeczach w każdym królestwie szkodliwych, na które ani prawa, ani winy żadnej nie masz, z uniwersalem poborowym na zbytki, utraty i nie-



ZAMEK ORAWSKI OD STRONY POŁUDNIOWEJ.



UBIORY NIEWIAST TEGOCZESNE, podług rysunku Kossaka.

potrzebne wystawy domowe.“ Nieznajomy autor tej broszury, odznaczającej się trafnością pomysłu, werwą satyryczną i poczciwą dążnością, podaje myśl, nieraz później powtarzaną, aby na wszelkie nadużycia i zbytki, tak mężczyzn, jak niewiast, nałożono podatek. Pod względem „szat białogłowskich“ proponuje on między innymi pobór następujący:

Od każdej jedwabnej szaty, za którą ogon się wlece, zł. 4;— od mentlika kunami podszytego zł. 2, a sobolami zł. 4;— od płaszczyka u którego przodki sobolowe, a pod całym nie masz nic, zł. 6, gdyż lepiej barana pod cały kupić, niż wylogami świat grać, a grzbiet ziębić; od szaty otworzystej, by czuła turecka, zł. 6;— od dyndela u ucha, zł. 6;— od bramek kosztownych, zł. 4;— od przyprawnych włosów, gr. 10; od pokoszonej (blanszowanej) twarzy; zł. 4;— od kraszonych brwi, gr. 14;— od umizgania, gr. 25;— od łańcuszka, zł. 4;— od patynek aksamitnych, gr. 16;— od korony we włosach, zł. 10;— od ubioru po hiszpańsku, zł. 10, po włosku, zł. 5, po francuzku, zł. 6;— od przepalanych wódek do umywania lica, gr. 6;— gdyż się prostą wodą dobrze i zdrowo umywać; od namiotów do łoża, zł. 8;— która długo sypia, zł. 4;— która mężowi nie wierzy, zł. 10;— bo sama nic dobrego;— która mężem rządzi, zł. 20, bo biada temu domowi, gdzie dobodzie krowa-wołowi;— która tkanką czolo wyciąga, żeby za młodą uszła, zł. 40, bo to młodzieńca zdradza;— która używa dragantu, kamfory, mastyksów, zł. 40;— która nogę wystawia, pół talara i t. d.

Widzimy z tego że zbytki i tajemnice toaletowe nie były obce niewiastom wieku XVI, a i dziś jeszcze podobno trudno powiedzieć, aby pleć piękna wyrzekła się tego grzechu. Są jednak chwile w których nieprzeparta jakaś siła zagnała wszystkich do opamiętania się. Większa część naszych kobiet pojęła nareszcie, że skromność w ubraniu (nie wyłączająca bynajmniej dobrego smaku), jest właśnie najpiękniejszą ich ozdobą, że wszelki zbytek dowodzi płocności, lub co gorsza, nagannego lekceważenia najświętszych obowiązków.

ELEGIA ZWIERZYŃIECKA.

W Krakowie, na Zwierzyńcu, nad srebrną Wisłą falą
Klasztor kąpie się w wodzie i drzewa się kryształą,
Gród stary stoi w dali, a z jego wieżyc łona
Ostatni dzwoni jęk przeciągłym echem kona.

W Krakowie, na Zwierzyńcu, na złotym tle zachodu
Dziewicy kościół lśni z wieżycą białą z przodu,
Zakonna siostra niby, co w natchnień blask ubrana,
Na skrzydłach białych szat podłecić chce do Pana.

W Krakowie, na Zwierzyńcu, tam we wieczorną ciszę
W wieżycy straszny dzwon skrzył się kołyszce,
I dziewięć razy drga, aż staw, rechcząc z boku
Ostatni jego ton w ciemnym utopi mroku. (*)

W Krakowie na Zwierzyńcu, w tych białych domków wieńcu,
O ileż wspomnień tam zostało po młodzieńcu,
O ileż myśli tam przywrzało mi na wieki
Do drzewin i do murów, do domów i do rzeki.

W tym domku tam nad rzeką, gdzie w słońcu lśni okienko,
Tam ty mieszkałaś wprzód, bieluchna ma mateńko,
A teraz pusto tam, bo z dłońmi złożonemi
Ty leżysz sobie cicho i śpisz we świętej ziemi.

Pó drodze, co się sunie śród białych domków stada,
Tam ty chodziła często, dziewczyno moja blada,
A z za kwiatusków tych, co teraz poschły w okienku,
Tam ty marzyła nieraz, słów moich słuchając dźwięku.

Na brzegu, kędy Wisła jedwabną wije się wstęgą,
Z przyjaciółem się moim wieczną wiązałem przysięgą,
A kędy pośród lip krzyż czarny modli się niebu,
Tam wybrałiśmy sobie miejsce naszego pogrzebu.

Tam burze naszych duchów i słodkie minęły mary,
Tam modliliśmy się niebu i jego wzywali kary,
A pan Bóg sę na dzieci pełne miłości nie gniewał,
Ale nas skrzydłem anioła i cieniem lipy okrywał.

Tam kiedyśmy siedzieli na spólnej z sobą rozmowie,
Na konary drzew starych przylatywali duchowie,
I słów naszych słuchając siwemi chylali głowy
I śmieli się anielsko, kontenci z naszej rozmowy.

Tam zbolały, stargany, słuchałem po raz ostatni
Jak dzwon zmarłym w świat tamten spominek posła bratni,
A w jego tonach straszliwych czarne rospaczy mój słowo
Leciało przed tron Boży, płomienną uderzyć głową.

Teraz daleki i smutny, gonąc skrzydłami tęsknoty,
Raz jeszcze widzę wszystko, ubrane w zachodu blask złoty
Niebo, klasztor i drzewa i domek—i słyszję jak kona
Modląc się za mnie, rozjęk ostatni straszego dzwona.

(*) W zwierzyńskim klasztorze jest zwyczaj dzwonić w wieżór za utopionych we Wiśle. Pęknięty dzwon na to przeznaczony, uderza razy dziewięć w odstępach jednego Zdrowaś Marya.

Czuję, jak się wspomnienia jako słowiki w drzewinie
Budzą i w ciasnej piersi zieloną budują świątynię,
A jęk mojej boleści i łez mych ogniste fale
Płyną Wisłą i toną w jej wody czystym kryształe.

Słyszę, jak jęk ostatni z piersi mej bólem starganej
Do cienistego stawu padł jak topielec nieznany,
A księżyc nań ciekawie spojrzeć lubi wieczorem,
A żaby tajemniczym o nim rechają howorem.

J. Szujski.

NA PLACÓWCE.

WSPOMNIENIE ŻOŁNIERSKIE.

PRZEZ

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy.)

Co robić w nocy na placówce? spać, czy marzyć, czy gawędką się bawić... Jeden z tych trzech przedpędzania czasu sposobów był na nasze rozporządzenie, i to nie według woli, bo często przeszkadzały nam to regularna zmiana warty, to nieregularne odwidziny patroli i rontów. Trzeba więc było na komendę zrywać się i na komendę zabierać się do snu, marzeń i gawędek. Niewiele pomiędzy nami znajdowało się takich, którzy byliby w stanie zastosować się do rozkazu spania lub marzenia. Chociaż znajdowali się. Pamiętam jednego, który posiadał tę szczególną zdolność, że mógł tyle razy spać, ile razy się położył. Inni jednakże, raz zbudzeni, gubili sen i nie byli w stanie go odszukać. Inaczej działo się z gawędkami. Te nie gubiły się: przerwany wątek wiązał się na nowo i podsycony fajką, snuł się, niby nic z kłębka.

Zalegaliśmy więc podłogę, ćmiliśmy fajki i gawędziliśmy. Poczestne miejsce przy ognisku zajmował podoficer, komendant placówki; po nim najpoczestniejsze dostawały się mnie i dowódzcy piérwszej sekcji, a po nas, to już jak się komu udało. Jeden siedział, drugi leżał, jeden był bliżej ognia, drugi dalej, a zawsze lepiej miał się ten co był bliżej, dlatego że dalej, chociaż to było w izbie, a taki zimno dobrze czuć się dawało.

Ustępowanie nam poczestnych miejsc przez żołnierzy, działo się skutkiem czystej grzeczności, bo nie ich do tego nie zobowiązywało. Wszyscy zgromadzeni na placówce, do jednej i tej samej należeliśmy sfery towarzyskiej, do surdutowych paniczów, do tak zwaney inteligencji, pozbieranej pomiędzy synami wioskowych posiadaczy, dzierżawców, ekonomów i księży, pościągany z wszystkich stron świata, z Litwy, Ukrainy, Korony, Wielkopolski, ale najwięcej z Galicyi. W świecie, tam gdzieśmy na grzbietach surduty nosili, była pomiędzy nami wielka różnica. Dziedzic przez ramię spoglądał na posesorowicza, a ten na ekonomowicza, a ekonomowicz na księdzowicza. Lecz w szeregu, pod mundurem, w obliczu nieprzyjaciela, różnica ta zatarła się. Pozostali żołnierze, z których każdy nosił, jak powiadają Francuzi, generalskie szlify w tornistrze, i jeżeli jeden względem drugiego był grzecznym, to nie z obowiązku, ale przez delikatność. Z obowiązku szła tylko służba. W służbie szeregowy ścigał broń przed oficerem, lecz na biwakach, przy obozowem ognisku, nie miał obowiązku ustępować oficerowi lub podoficerowi piérwszeństwa, a jeżeli ustępował, to tylko przez grzeczność, albo przez wzgląd na to, że gdy kiedyś sam oficerem zostanie, miło mu będzie gdy podkomendni zechcą mu uszanowanie okazywać. Takie były u nas zwyczaj: trzeba się było do nich stosować, a kto stosować się nie chciał lub nie umiał, temu nic innego nie pozostawało, jak opuścić szeregi.

Zasiedliśmy tedy przy ognisku i zapanowało wśród nas milczenie. Ogień jasnym palił się płomieniem i rozlewał ciepło, które przenikając ciała nasze, snem nam powieki obarczało. Jaki taki, siedząc, mrużył oczy i pochylał głowę, chylił ją, chylił, aż raptem podnosił, bo mu się przysniło, że do przepaści spada. Inny co chwila szeroko ziewał. Inni siedział zadumany, z wlepionymi w płomień oczami. Inny chrapał. Ja, jak dziś pamiętam, trzy sobie w myśli postawiłem pytania: czem byłem?.. czem jestem?.. i czem za chwilę być mogę? i bawiłem się rozwiązywaniem ich. Bawiło mnie szczególnie ostatnie. Mówiłem sobie: „za chwilę mogę być trupem“ i usiłowałem wyobrazić sobie, jak będę wyglądał w trupim stanie. Było to dla mnie rzeczą jeszcze nową, więc bardzo interesującą.

— Czegóż tak milczymy, jakbyśmy sumienia własne roztrząsali.. odezwał się jeden żołnierz. Czy nam co ciężo na sumieniach?..

Zapytanie zwracało się do wszystkich czuwających. Wszyscy więc spojrzeli na pytającego, a potem po sobie i odpowiedzieli ściśnięciem ramionami, oznaczającym przeczenie.

Rzeczywiście, trudno było nawet przypuścić, aby sumienie którego z nas mogło być jaką zbrodnią lub wielkim jakim występkiem obarczone. Na zbrodnia-rzy byliśmy za młodzi. Jeden komendant placówki wyglądał poważniej, on więc chyba jeden mógł popełnić coś takiego, co gryzie za serce.

Zapytanie to, od niechcenia rzucone, ten wpływ na nas wywarło, że w każdym z nas obudziło ciekawość, której treść była następująca:

— Z kim też los sprzął mnie w wojskowe koleżenstwo?..

Trzeba bowiem wiedzieć, że dużo pomiędzy nami było takich, których nikt nie znał i którzy ze swojej strony nikogo nie znali. Zeszli się w szeregi i z apelów dowiedzieli się, że ten tak, a ów owak się nazywa, ale więcej o niczem. Gdzie się urodził, jak wychował? gdzie i czego się uczył? jakimi były jego towarzyskie stosunki? to wszystko było nieznane i chyba tylko z akcentu mowy rozpoznać było można, że ten Mazur, ów Litwin, a ów Rusin.

Rozbudzeni ciekawością, poczuliliśmy raptem potrzebę bliżej się zapoznać, a jedynym sposobem do zapoznania się był ten, aby każdy opowiedział towarzyszącemu jego życiu okoliczności.

Ten co zapytał: „czy nam co ciężo na sumieniach?“ pomilczawszy przez chwilę, zaproponował:

— Co mamy jak mruki siedzieć!.. Ot, niech się każdy wypowiedzi, a my większością głosów będziemy udzielać rozgrzeszenia..

Propozycja ta wywołała dość żywą o spowiedzi i rozgrzeszeniu rozmowę, która tém się zakończyła, że jednogłośnie proponującemu zaproponowano spowiedź.

— No!.. wytaczaj swoje grzechy.. odzywano się ze wszystkich kątów.

— Jakie grzechy?.. co za grzechy? bronił się proponujący.

— Śmiertelne, powszednie.. myślą, mową, uczynkiem.. podpowiadano mu.

— Przejdź myślą dziesięcioro bożego przykazania.. odezwał się jeden, może przeciwko któremu z nich, albo przeciwko wszystkim wykroczył..

— Pomyśl nad siedmiu grzechami głównymi.. odezwał się drugi, może byłes pyszny, łakomy, nieczysty, obżarty..

— Do bronil!.. krzyknął sztyldwach, chodzący przed placówką i rozmowa została przerwana.

Wyruszyliśmy hurmem z izby, pochwyciliśmy za karabiny i w mgnieniu oka staliśmy uszykowani.

Przyszedł plackomendant z rontem. Po odejściu rontu dowiedzieliśmy się, że potrzeba abyśmy podwoili baczność i czujność, bo powzięto podejrzenie, jakoby załoga twierdzy miała zamiar tej nocy zrobić wycieczkę. Była to przestroga podobna do owych fałszywych alarmów, mających na celu utrzymanie wojsk w pogotowiu i przyzwyczajenie żołnierzy do czujności. Nie potrzebowaliśmy więc zaostrzać naszej baczności. Komendant placówki wysłał patrol i zasiedliśmy napowrót przy kominie.

Komendantem placówki był, jakem wyżej powiedział, podoficer. Nazywał się on Józef N... Był to człowiek tak rangą jak wiekiem najstarszy i najpoważniejszy pomiędzy nami.

Lat miał trzydzieści z górą, a jego sposób życia, zachowania się i mówienia, zdradzał w nim człowieka należącego do tej klasy towarzystwa, którą pospolicie obywatelską nazywamy. Szereg i kordegarda nie zatarły na nim znamienujących go cech dobrego tonu i przyzwoitych manier, które go nigdzie i nigdy nie opuszczały, a po za któremi ukrywało się coś nakształt smutku, coś nakształt wspomnienia wielkiej jakiejś doznanej w życiu przykrości. To coś robiło go dwolistym człowiekiem: albo bardzo milczącym, albo dużo mówiącym.

Niekiedy godzinami całemi słówka ód niego nie można było usłyszeć. Usiadł, brodę dłonią podparł i milczał, a oczy wówczas miał jakieś szklane, bez wyrazu. Niekiedy rozgadał się i opowiadał, i wówczas oblicze jego ożywiało się, nie dawał innym przyjsć do słowa, ale też nikt w takim razie o to się nie dobiął, bo miło go było słuchać.

Kilkakrotnie zdarzyło mi się być jego słuchaczem. Józef nie mówił o sobie. „Ja“ w opowiadaniach jego nigdy nie brzmiało, a jednakże opowiadania te około „ja“ się kręciły. Treść ich czepiała się najczęściej Lwowa, niekiedy Warszawy albo Krakowa, czasami nawet Kijowa lub Wilna, a czasami wsiowego naszej szlachty pożycia. Ale bądź o miastach, bądź o wsiach mówić, w mówieniu jego przebijala się znajomość rzeczy, jakaś familiarność z przedmiotem, jakby tam sam był, własnymi oczami widział i własnymi uszami słyszał,

jakby w każdym z tych miejsc urodził się, wyrastał i wychował się. A przytém, zdawało się, że wszystkich znał. Kiedy usłyszał moje nazwisko, natychmiast zapytał:

—Czyś syn pana Ksawerego?

—Nie... odrzekłem.

—A to porucznika... Musiał podstarzec twój ojciec...

—Znasz go? zapytałem.

On mi nic na to nie odpowiedział.

Kiedy raz przy nim wymienilem nazwisko jednego z ukraińskich obywateli:

—Ożeniony z panną X... podchwycił. Dochrapał się marszałkostwa, za sprawą żony i kucharza...

Znasz go?... zapytałem.

On mi nic nie odpowiedział. I zauważyłem, że także litwini, koroniasze, galicyanie i wielkopolanie nie wymienili przy nim żadnego takiego nazwiska, któreby mu było obcym, nie jako nazwisko-wyraz, lecz jako nazwisko-osoba, ze wszystkimi przywiązaniami do niego szczegółami, tak publicznych jak prywatnych stosunków. Zdawało się że ten człowiek cały zna świat.

To także zauważyłem, że opowiadania jego najczęściej o stronę skandaliczną trącały. Wiedział on o różnych bardzo ciekawych tajemnicach, o których gdy rozповідаł, to to taki efekt robiło, jakby się jakąś dobrze napisaną powieść czytało, ale powieść taką, jakich nie pisujemy, bo suto osoloną i opieprzoną, wziętą wprost z życia, nie ubarwioną żadnym wymysłem, nie obwijającą nic w retoryczne bawelny, nagą i niekiedy przerażającą-prawdziwą.

Dziś nie potrafiłbym powtórzyć tego wszystkiego co od Józefa słyszałem. Pamiętam jednakże, iż robiło to na mnie przykre jakieś wrażenie, bo w najgorszym świetle przedstawiało mi społeczeństwo którego członkiem byłem. Kilka razy próbowałem stanąć w obronie tego społeczeństwa.

—Ależ mój Józefie... rzekłem razu pewnego, nie tak źle na świecie, jak powiadasz.

—Nie tak?... odrzekł mi Józef akcentem zdziwienia i zapytania.

—Można znaleźć uczciwość, honor...

—Zastosowane do biegających potrzeb i naglących okoliczności... dopowiedział Józef. Uczciwym i honorowym bywa ten, komu z tém wygodnie... A niech-no owa uczciwość i ów honor nadwierzają trochę wygodę, to i po nich: pozostanie tylko... niewinność...

—Niewinność?... zapytałem zdziwiony.

—A tak, niewinność... Bo winnymi są potrzeby i okoliczności, ale nie ten co z uczciwego nieuczciwym, z honorowego niehonorowym został... Jeżeli go zapytasz, to ci odpowie: „nie mogłem płynąć przeciwko wodzie, nie mogłem głową muru rozbijać“... A ową wodą, owym murem nic nie było innego, tylko... intrata...

Póki intracie nie zagrażało umniejszenie, póty, o!... zdawało się że tego człowieka, jak drugiego Eliasza, żywcem, z kośćmi i ciałem, zabiorą z ziemi do nieba, i to pod warunkiem, jeżeliś nie wglądał za te kulisy, za które działa jego ekonom, jego essauli i dziesiątnicy... Jeżeli zaś uczciwość i honor narazić go miały na uszczuplenie intraty, to...

Tu pogardliwie ręką machnął.

—Ol... ciągnął dalej, niewinnymi są wszyscy, ale łatwiej i prędzej białego znajdziesz kruka, niż...

Tu się zaciął, bo i jemu snadź zrobiło się przykro.

—Musiałeś od ludzi wiele doznać złego... wtrąciłem.

—Ja?... zapytał Józef. Nie... Osobiście nikt mi nic złego nie wyrządził... Przeciwnie: byłem dzieckiem szczęścia, zwłaszcza... póki miałem pieniądze...

Przy ostatnich wyrazach gorzko się uśmiechnął.

—Pieniądze, bracie, to grunt... Bądź ty sobie nieuczciwym i niehonorowym, tyranizuj poddanych, oszukuj sąsiadów, krzywoprzysięgaj, fałszywie świadcz, gwałć wszystkie najświętsze obowiązki, ale tylko miej pieniądze, to z góry za wszystko pewnym być możesz rozgrzeszenia... Taki to świat i jego wyroki...

Rozmowa ta przypomniała mi się na placówce, kiedy wytoczoną została rzecz o spowiedzi i grzechach. Już zamierzałem zrobić z niej jakiś (nie wiedziałem jeszcze jaki) użytek, lecz ront przerwał. A przytém i Józef w milczącym był usposobieniu, które po odejściu rontu zamieniło się raptem na wielce rozmowne. Józef, z jakimś właściwym mu żołniersko-rubasznym zacięciem, umościł się przy ognisku, wydobyl z zandrze fajkę i kapciuch, nałożył, zakurzył i na zegarek się popatrzył.

—Jedenasta... rzekł, to jeszcze mamy przed sobą ośm z górą godzin nocy...

—Ach!... to wiek cały dla tych, których sen morzy... odezwał się któryś z żołnierzy. Jak tyle godzin przeczekać?...

—Będziesz miał rozrywkę, gdy cię na wartę postawią... odpowiedział inny, będziesz deptał na miejscu i chuchał w ręce. A może nieprzyjaciel domysli się że nam nudno i doprawdy wycieczką wysunie. Na-

sza baterya dokuczala mu w dzień, to zapewne zechce ją zagwoździć...

—I to być może... dodał trzeci. Potaniczmy przy świetle gwiazd i muzyce karabinów...

—Gdzie jemu w taki mróz o wycieczce myśleć!... odparł czwarty.

—Trzeba jednakże być w pogotowiu... odezwał się Józef.

Rozumieli wszyscy, jakie to „w pogotowiu“ miało znaczenie. Tłumaczyło się ono jednym wyrazem: „nie spać“.

—Czemuż nie możemy choć kartami się zabawić? zawołał jeden patetycznym głosem. Zabronić żołnierzowi kart, jest to skazać go na najsroźsze męczarnie... Ot teraz np. założylbym bank w maczka, stawka naznaczyłaby się po krajcaрку i noc zbiegłaby nam pionunem na wyglądaniu szlagiera, jak kochankowi na oczekiwaniu kochanki...

Było to życzenie na wiatr rzucone, bo gra w karty była u nas surowo zabronioną. Propozycya kolegi niejednemu się podobała, ale każdy, wiedząc o jej niewykonalności, jednem uchem ją wysłuchał, a drugim wypuścił, i koniec końcem każdemu w myśli stanęło ośm godzin nudów, szerokich jak morze do przepłynienia. Przypominam sobie, że z góry bohaterskim ziewnął sposobem, to jest gęba rozskoczyła mi się szeroko, a z gardła wydarło się coś naksztalt wilczego wycia.

—Na zdrowie!... odezwał się Józef, a za nim inni. Tomasz zaintonował poziewankę, wtórowanie której może nam posłużyć jako wyborny sposób przepędzenia czasu...

Jakoż rzeczywiście dwóch czy trzech serdecznie mi zawtórowało, a reszta się roześmiała.

—Któżto się miał spowiadać?... odezwał się jeden. Słuchamy...

—Niech spowiedź odbędzie się według starszeństwa... Niech Józef zaczyna... rzekłem.

Propozycya moja znalazła ogólne poparcie.

—Józef!... podoficer!... wiekiem i stopniem najstarszy!... Niech zaczyna!... zakrzyknęto.

Józef palił fajkę i uśmiechał się, a pomilczawszy przez chwilę, rzekł tonem zdziwienia.

—Cóż was tak moje grzechy obchodzą?... Czy to grzechy mego żywota mają być tak ciekawe?...

—Zaczynaj!... zaczynaj!... wołano. Muszą być ciekawe, kiedy wszyscy radziby je znać...

Otóż na złość wam, nie zacznę... Niech zacznie ten co zaproponował...

—Większość każe!... ktoś się odezwał.

—Większość powinna mnie pierwój zapytać, czy jej zechcę być posłusznym... podchwycił Józef.

—Więc spowiadaj się ty!... rzekł z akcentem pewnej niecierpliwości jeden z żołnierzy do siedzącego obok sąsiada, a sąsiadem tym był ten właśnie, który najpierwszy spowiedź zaproponował.

Był to młody, dwudziesto-kilkoletni chłopak, jasny blondyn, bardzo przystojny, rumiany, kształtnie i mocno zbudowany. Wąs miękki, ale na zawieszisty zakrawający, znaczył się mu nad ustami. Z powierzchowności wydawał eleganta, albo raczej ex-eleganta, który snadź niegdyś fryzował się i muskał, i tylko tymczasem, z powodu braku czasu, zaniedbał nieco wąski swoje, włosy i paznogie. Na imię mu było Godfryd. Imię czyste niemieckie, lecz za to nazwisko kończyło się na najwyraźniejsze ski i ozdobionem było tytułem hrabiego, którego się Godfryd zarzekał. Gdy go kto chciał do żywego obrazić, to mu tytuł ten dawał. Do takiej go to doprowadzało passyi, że raz o mało jednego z kolegów bagnetem nie przebił.

—Godfrydzie! spowiadaj się... wołano na ex-eleganta i ex-hrabiego.

Godfryd w widocznym był kłopotcie.

—Sam przecie zaproponowałeś... dogadywano mu.

—To tak... sam zaproponowałem... bąkał Godfryd, ale... wołałbym żeby kto inny dał przykład...

—Na co tobie przykładów?... odezwał się jeden. Ot tak: wymów pierwsi wyraz, a za nim pójdzie drugi, dziesiąty, setny... Najtrudniej zacząć...

Godfryd namyslał się, lecz jakoś namysł jego trwał za długo.

—No!... wołano.

Godfryd chrząkał.

—Uderz się w piersi i mów: zgrzeszyłem!.. A ja zapytam ciebie: czém?...

—Myślą... podpowiedział siedzący obok ex-hrabiego żołnierz.

—Czegóż się śmiesz?... zapytał podpowiadający.

—Śmieję się, odparł zapytany, bo posądzasz Godfryda o grzech, którego on z pewnością nie popełnił.

Młodemu ex-elegantowi rumieniec na twarz wyskoczył. Chciał coś odpowiedzieć, lecz został zagadany.

—To mową... przerwano mu.

—Na to pozwalam... odezwał się ten sam głos, który się zaśmiał.

A tymczasem nalegano na Godfryda:

—No!... I cóż tedy?... Musiałeś siła nagrzeszyć, bo to ty wysoko latałeś... to ci się nieraz w tych wysokich sferach musiała głowa zakręcić...

Godfryd zabierał się do mówienia, ale się zebrać nie mógł.

—Oto... odezwał się jeden księży syn, najlepiej zrobny tak: weźmy Godfryda na indagacyą... Ja będę od-mawiał dziesięcioro, potem siedm grzechów głównych, potem grzechy przeciwko duchowi św., a wy patrzcie mu w oczy... Po minie jego poznacie, do jakiego pozczuwa się grzechu.

Propozycyą tę przyjęto jednogłośnie. Kilku pochyliło się ku Godfrydowi, zaglądając mu w oczy, a księży syn zaczął głośno i wyraźnie recytować dziesięcioro.

—Pierwsze: nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną; drugie, etc...

Milczano. Ale gdy wymówił:

—Nie pożądaj żony bliźniego twego... zawołano:

—Stój!... Jest grzech!... Godfryd zgrzeszył przeciwko dziesiątemu przykazaniu!...

A jeden zapytał:

—No... Jakże to było?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

SPROSTOWANIE.

W Nrze 84 Tygodnika, str. 164, szpalta 2, wiersz 13, zamiast: „Wybiegł arlekin w masce czarnej, z drewnianą *czapeczką* w ręku,“ czytaj: *trzepaczką*.

NB. Był to rodzaj wachlarza drewnianego, należący do stroju arlekina.

To samo rozwiązanie w 15 posunięciach, jakie nadesłał p. F. Lab. w Warszawie, znalezionem zostało i w Paryżu przez pp. Lequesne i Lamouroux i ogłoszonym w piśmie szachowem *Nouvelle régence* za maj r. b. —Żeby w błąd nie wprowadzać szukających, szanowny autor zadania ostrzega, że zaraz pierwsze ich posunięcia są fałszywe.

RADECZNICA.

Czém Częstochowa dla całej Polski, tém Radecznicą jest dla Lubelskiego. Do Częstochowy dążą pobożni z najodleglejszych zakątków kraju; Radecznicę znają wszyscy mieszkańcy tej części ziemi, która zamkniętą jest rzekami Bugiem, Wieprzem i Wisłą.

Radecznicą do roku 1664 była wioska mało znana, należąca do rodziny Świrskich. Według podania dnia 8 maja tegoż roku Szymon Tkacz, wyrobnik w téjże wiosce, w nocy usłyszał głos wołający go po imieniu. Otworzył okno, ale nie ujrzawszy, położył się, i dopiero kiedy drugi raz zawołano, wdział odzienie i wyszedł z chaty ku górze.

A na górze ujrzawszy ogień wielki i pomyślawszy że to pewnie pieniądze się palą, powiedział o tém żonie i poszedł. Zaledwie stanął na górze, patrzy, aż stoi zakonnik, otoczony niebiańską światłością, i mówi:

—Szymonie! leniwyś na rozkazanie pańskie. Znaszże mnie ktom jest?

—Nie—rzecze struchlały Szymon.

—Jam jest św. Antoni, mam to z woli Najwyższego Pana, abym tobie opowiedział, iż na tém miejscu chwała Boga Najwyższego odprawiać się będzie. Przemennie chorzy, ślepi, chromi i różnemi dolegliwościami utrapieni, znajdować będą pociechy swoje: chorzy zdrowie, ślepi wzrok, chromi chód, zgoła żaden z uciekających się na to miejsce bez łaski nie odejdzie.

Potém święty kazał za sobą pójść Szymonowi, przy nim poświęcił wodę w stoku i kazał aby udał się do Zamościa, opowiedział co widział i słyszał przelożonemu oo. franciszkanów, a na znak dał mu karteczkę papierową, cudnie woniejącą.

Dalej, gdy Szymon zwłóczył dzień odednia swą drogę do Zamościa, a cud zaczął się rozgłaszać, święty Antoni staje znów przed chatą i mówi:

—Szymonie! tożes leniwy na wolę i rozkazanie Najwyższego Pana! Idźże przynajmniej do wójta, a opowiedz mu wolę, aby figurę tu na tém miejscu postawił.

—Święty ojczel! boję się aby mnie nie uwięził, odrzekł Szymon.

—Idź, nie bój się, Pan z tobą.

Poszedł Szymon do pana Walentego Psorskiego w Mokrémlipiu, który zarządzał całym majątkiem radeczniczym, i wyprosił u niego drzewo na figurę. Gdy wyrobiono figurę z dębu, pan Psorski nie chciał dać ludzi do jej wzniesienia, mówiąc:

— Jeżeli św. Antoni tego chce i tobie to rozka-
zał, niech wam dopomoże.

I stało się, że kiedy ów niedowiarek, chcąc prze-
konać się co dalej będzie, jechał na górę, konie mu
w pojeździe ukłękły, a Szymon z dwoma tylko sąsiami
lekką podniosł figurę.

O tém wszystkim dowiedziawszy się dziedzic Ra-
decznicy, ksiądz Mikołaj Świrski, biskup cytryński, su-
fragan chełmski, po-
wziął myśl ufundowa-
nia w miejscu przez s.
Antoniego obranem
kościół, i wprędce tę
myśl uskutecznił, wy-
stawiwszy obok ko-
ściół klasztor i wpro-
wadziwszy do niego
oo. bernardynów.

Powyższą historiją
założenia kościół i
klasztoru radecz-
niekiego streściliśmy
z akt miejscowych, a
w Voluminach legum,
tom V str. 397, znaj-
dujemy w uchwałach
sejmu krakowskiego
z r. 1676 aprobacją
fundacji oo. bernar-
dynów na górze św.
Antoniego w powiecie
krasnost. przez wiele-
bnego Mikołaja Świr-
skiego uskutecznił.
Jest zaś podanie miej-
scowe, że poświęcenie
kościół odbyło się
w obec króla Michała,
który umyślnie zje-
chał, aby uprosić łaskę
św. Antoniego dla
skołatanej niezgodą
kraju.

Świrski sufragan
chełmski, umierając, zapisał Radecznicę pijarom chełm-
skim, a od nich przeszła do ordynacyi zamojskiej.

Prześliznę bo też to i prawdziwie cudowne miej-
sce, ta Radecznicza. Z zachodu na wschód, jak tylko
okiem zasięgniesz, widzisz różnobarwny kobieriec róż-
nwin, na których tu i owdzie usiadły porządnie za-
budowane i drzewami ocienione wioski. Mokrelipie,
ze swoim pięknym białym kościółkiem, otoczonym li-
pami; Gruska Zaporska, z dworem który czerwonym

dachem imponuje okolicy; Czernięcin, miejsce pobytu
sławego poety Szymonowicza; Nowa wieś, z por-
ządnie budowlami w jednej linii wyciągniętemi;
Sułowice, miejsce urodzenia ośmnastu braci Drzierża-
nowskich, z których jeden, sławny awanturnik, kró-
lował na jakiejś południowej wyspie, a drugi odzna-
czył się w konfederacyi barskiej; wszystkie poprze-
rzynane zielonemi smugami łąk, przez które biegnie

Póki będzie duch w mém cielesie,
Będę bywał w tym kościele,
U świętego Antoniego
W Radeczniczy zjawionego.

W wielkim ołtarzu znajduje się cudowny obraz
św. Antoniego, w srebrnej, obciążonej niezliczoną ilością
pobożnych wotów sukience, i kilka innych obrazków



RADECZNICA, rysował Podbielski, podług akwarelli Umienieckiego.

znakomitego pędzla. W grobach klasztor-
nych okazują zwłoki
kwestarza, który pierw-
sze potrzeby klasz-
toru i kościół z kwe-
sty hojnie udzielanej
zaspokajał. Braciszek
leży jakby snem zmo-
rzony, a prawą rękę
trzyma odłożoną, jak-
by dziś jeszcze kwesto-
wał. Podobno próbo-
wano wielokrotnie rękę
tę położyć na pier-
siach, ale zawsze w o-
czach widzów wraca
do pierwotnej pozy-
cji. Znakomite także
pozostawili po sobie
wspomnienie w Ra-
decznicy: kwestarz
ojciec Lambert, któ-
rego cała okolica zna-
ła, kochała i powa-
żała i który wjeżdżał
zawsze do klasztoru
jak ów ksiądz Robak:

Za baranem szły woły,
trzoda owiec, kozy,
Za bydłem ciężko
ładowane wozy....

oraz ksiądz Plesnia-
rowicz, po trzykroć
obierany gwardya-
nem, który klasztor zaniedbany i prawie chyłący
się już do upadku, odrestaurował i do porządku przy-
prowadził.

Rycina przedstawia Radecznicę od strony Gruski
Zaporozkiej. Widok frontonu kościół znajduje się
w Album lubelskim (oddział II, zeszyt III), lecz cho-
ciaż wiernie narysowany, jako obejmujący tylko ko-
ściół, nie daje ogólnego wyobrażenia o Radeczniczy.
Ant. Wien.

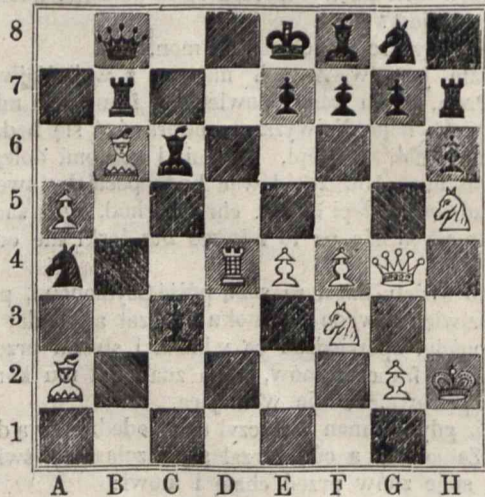
SZACHY.

ZADANIE LXIII.

(Ks. W. G. z Mianocic.)

Białe zaczynają i dają mata za szóstym
posunięciem laufrem B 6.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 62.

Białe.

Czarne.

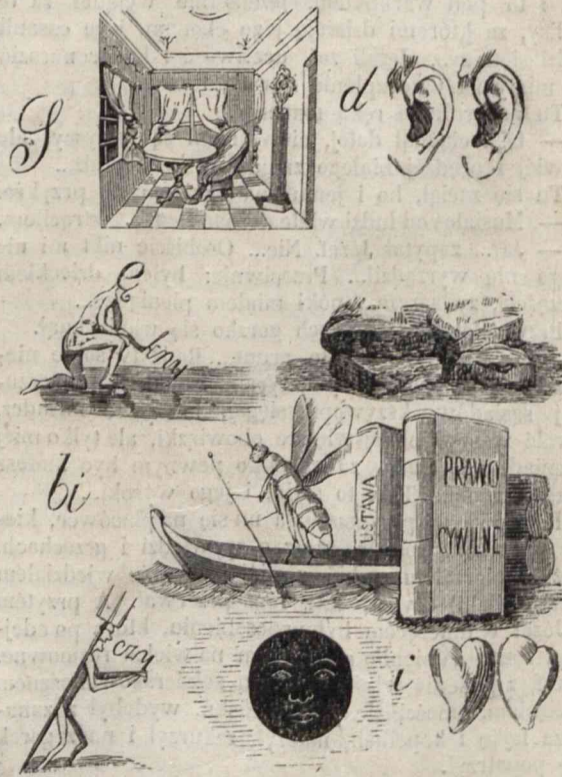
- | | |
|-----------------------|--------------------|
| 1) B 7 — C 5 † . . . | 1) B 3 — C 5 biorą |
| 2) F 2 — F 5 † . . . | 2) E 6 — F 5 biorą |
| 3) C 2 — D 4 † . . . | 3) E 5 — D 4 biorą |
| 4) G 2 — G 4 † i mat. | |

swobodnie rąca rzeczulka, wszystkie wyglądające
biało, świętecznie, szczególnym urokiem wabią ku so-
bie oczy.

U krańca tych równin spotkaś małą wioszczkę
Radecznicę. Chatki wieśniacze czyste, schludne, przy-
tulili się do wysokiej góry ponad drogą, poobrywa-
ły się gestemi sadami i tylko gdzieniegdzie wyzie-
rają zalotniej ku drodze, aby znieść przechodzących.
Dalej także pod górą pierwsza kaplica na wodzie,
wystawiona w tém miejscu, gdzie stała chatka Szymo-
na, i gdzie mu się św. Antoni po raz pierwszy objawił.
Kaplica ta, zbudowana na palach wśród czystego kana-
łu, mieści w sobie studnię ocembrowaną aż do
dna kanału; z niej pobożni czerpią wodę uzdrawia-
jącą rozmaite cierpienia. Bogobojniejsi i mocniej
wierzący dotąd jeszcze widują w tej studni dwie zło-
te rybki, rzucone niegdyś w rzekę przez św. Anto-
niego, a nikt nie ominie kaplicy, aby w dzbanuszek
cudownej wody nie zaczerpnął.

Po licznych kamiennych stopniach, od podnóżka
góry aż do jęj szczytu wznoszących się, wstępują
masy ludu z oczyma wzniesionemi ku klasztorowi, któ-
ry na samej górze siedzibę założył. Przed wnijsiem
spotykasz figurę drewnianą obmurowaną, tę samą któ-
rą Szymon wyrobnik, na rozkaz świętego, przy po-
mocy sąsiadów wznosił wśród lasu. Obszedłszy
mury klasztorne, otoczone wyniosłemi drzewami, znaj-
dziesz się wśród najpiękniejszego dębowego, klonowego,
lipowego i bukowego lasu, okrywającego całą przestrzeń
góry. Pomiedzy wyniosłemi dwuwiekowemi drzewa-
mi, migają tu i owdzie białe ściany kaplic, rozrzu-
conych po całym lesie, wypełnionych ludem śpiewają-
cym pobożne pieśni, a ścieżkami wijącemi się kręto,
przechodzą różnobarwne tłumy, jedne ku kościółowi,
inne z kościół na obchód kaplic. Na trawnikach
w cieniu drzew stoją powozy, bryki, wózki, płasają
dzieciaki wygrywające na fujarkach, gwar i ruch
niepojęty: tu galonowa służba rozściela dywany pań-
stwu chcącemu odpocząć w cieniu i zjeść przywie-
zione z sobą przysmaki; ówdzie ci co nie mają dy-
wanów, swobodnie, o choczno usiedli na trawnikach i
z łyżkowych kobiałek dobywają przybory; dalej ku-
mowie i kumoszki częstują się serdecznie, a w ten
gwar mieszają się głosy kilkudziesięciu dziadów, sie-
dzących przy drogach i ścieżkach, grających na lirach
i śpiewających:

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 84.

Mamy dwojaki znak mnożenia się w Polsce zamięłowania
sztuki: piękne szkice uliczników na murach i
katarynki rozdzierające uszy...